

Porwanie Sabinek.

Kobzy z kozłej skóry rozbrzmiały na szczycie wzgórze.

— Górale z Owernji! — zakrzyknęła dziatwa w dolinie.

— Puynegre!.. Lesquilat!.. Esclamud!.. Sostuegols!..

Stary Puynegre postępował na przód. Od czterdziestu już lat prowadził rokrocznie z Owernji wozy z barylkami ku dolinom quercy'nowym. Dziesięć ich było tym razem: zeszłoroczna zima ostra była, lato zaś gorące: sprzedaż tych zapowiadała się dobrze.

W otwartem oknie, za doniczkami fuksji i bazylii, Gimibre, najpiękniejsza dziewoja podgórskiej wioski, wyglądała z niepokojem Lesquilat'a. Od dwóch już lat wytafcowywała z nim podczas owych „winnych“ uroczystości, a w międzyczasie marzyła o nim, tęskniła i oczekiwała z dnia na dzień. Jasnowłose i gibkie dziewczę bowiem, o uśmiechu słodkim, jak pieszczota, uległo od pierwszego wejrzenia czarowi błękitnych oczu górala, który wodząc za jej wiotką postać zachwyconym wzrokiem, brał ją raz po raz w ramiona, unosząc w takt brzmiających kobz.

Lesquilat jednak zajęty poskramianiem swych wołów: Routsoł'a i Caonet'a, nie uświadził ku oknu głowy.

Czyżby zapomniał o niej? Na samą myśl o tem Gimibre zadrżała i grube łzy zaszkliły jej oczy. Poczem, przypomniałszy sobie, że nie znał jej domu, roześmiała się ze swego roztargnienia srebrzyście.

Na balu zaś wieczorem odnalazł swą bohdanke.

Górale wchodzili do izby, witając towarzyszywo skimnieniem głowy, nie zdejmując na razie wielkich swych piśniowych kapeluszy i oglądając się wokół. Poczem każdy z nich upatrzywszy sobie; ten gzyms u drzwi, ów oprawę szafy ściennej, otwierał zębami nóż wydobyty z kieszeni spodni i wbił ją z rozmachem w drzewo, by powiesić na nim kapelusze.

Lesquilat, nie rozstający się ani chwili z Gimibre, czuł, że dziewczę jest w jego mocy. Przed dwunastą starsi dali młodzieży znak odwrotu i matka Gimibre ofuknęła córkę, skoro tylko zostały same:

— Wycierają już sobie gęby tobą! Zadržo tańczyłaś z Lesquilat. Nie wbiłaj sobie czasami w głowę, że ten Owerniak pojmie cię za żonę! On będzie bogaty, ho jest jedynym spadkobiercą starego Puynegre, swego wuja. Z tobą zaś chce zabawić się tylko i kwita!

Gimibre milczała.

Na trzeci dzień, po skończonych targach i pomyślnem dokonaniu transakcji Owerniacy zabrali się do odwrotu. Czerwone woły z wielkim trudem ciągnęły teraz wozy z wypełnionymi winem i mocno ściągniętymi sznami

rem dębowymi barylkami o żelaznych obręczach. Na pierwszym zakręcie górale pożegnali winogrodników, gromkim swym gardłowym okrzykiem.

Zaledwie jednak ujechali z pół kilometra dalej, rozbrzmiał dzwon na trwozę i wrzaski rozległy się we wsi. Co się tam stało? Ani śladu ognia nigdzie. Skąd ten niepokój w niedalekiej wiosce? Trzej górale ze starym Puynegre na czele, który zamykał pochód, pochyleni w stronę doliny, z rękoma w kształt daszku nad oczyma śledzili gromadkę ludzi, uzbrojoną w widła, kosy i strzelby śpieszącą naprzelaj poprzez krzewy i glazy pod górę.

— Idą wprost ku nam — zauważył Puynegre. — Zapłaciliśmy im co do grosza. Czego chcą jeszcze?

Nagle rozległ się strzał, który chybił na szczęście. Wład za nim posypał się grad obelg, grózb i wyzwisk:

— Śmierć wam, bandyci! Łajdacy! Szubrawcy! Śmierć!

Owerniacy policzyli się. Było ich dziesięciu wraz z pacholkami przeciwko sześćdziesięciu uzbrojonych szaleńców z psami. Esclamud tedy, jako mający głos mosiężny, huknął ku napastującym z rękoma w kształt tuby przy ustach.

— Czego żądacie, do kroćset!

Nowy strzał w odpowiedzi. Esclamud uczył ukłucie w lewym ramieniu.

— Śmierć wam! Śmierć! — wyli winogrodnicy.

Puynegre wówczas, posławszy najmłodszego z chłopców po wozy, sięgające już szczytu wzgórze i przykazawszy swej drużynie naśladować jego manewr, zmusił uderzeniami piłki i nawoływaniem woły swe do odwrotu, stawiając wozy tyłem ku dolinie. Wówczas Esclamud zakrzyknął na rozkaz starego ku sunącej do nich gromadzie:

— Wara wam do nas!.. bo inaczej.. puścimy barylki!.. Jako żywo!.. pu... szcza. my!..

Piętnaście baryłek po dwieście dwadzieścia litrów wina każda miało tocząc się z góry na dół zmiażdżyć szukających zwady.

Manewr i groźby wstrzymały napaść.

— Wyznaczcie paru ludzi — huknął znów Esclamud — i niech przyjdą wytłumaczyć nam, o co wam chodzi?

Dwóch wieśniaków wystąpiło z gromady. Z twarzą krwią nabiegłą i ogniem w oczach zbliżyli się, nieustraszeni do szczętu Owerniaków.

— Postapiliście, jak bandyci — oznajmił jeden z nich groźnie.

— Bandytami są ci, — odparł Puynegre — którzy strzelają do bezbronnych i Bogu ducha winnych ludzi.

— Jaktto, Bogu ducha winnych?! — rzucił mu w twarz drugi — porwaliście jedną z naszych dziewczek!

— My?!!!

— Jeżeli nie oddacie nam jej natychmiast żaden z was nie wróci żywy do Owernji!

— Ostrożnie! — zawołał stary z gniewnym błyskiem w oczach — bo nie wszyscy też zejdzicie w dolinę, przyjaciele! Widziałem defilujące wszystkie nasze wozy i wszystkich naszych ludzi. Nie było wśród nich spódnicy! A zamykam przecież pochód, jak zawsze. Jeżeli jednakże chcecie bójkę, cierpliwości! Tamci nadchodzą. Ale my, bandyci, nie mamy bromi!

Lesquilat z twarzą poważną stanął przy wuju, podczas gdy dwaj parlamentarze, zbliżywszy się do wozów, zagładałi między sobą, gdzie tradycyjnym zwyczajem przychowane były kosze z drzewa lub łożyny, w których chowano ciężki płaszcz funmański, zapasy żywności i „sprawunki“ dla sąsiadów.

Nagle, u góry rozległy się krzyki. Lesquilat podbiegł w ich stronę. Gimibre, z włó samą w nieładzie, poszarpanym stanikiem i twarzą we łzach, wyrwawszy się z rąk swych ziomków, rzuciła mu się na szyję. — Znalaziono ją w koszyku, pod płaszczem. Oderwano dziewczynę siłą od Lesquilata i przyprowadzono go do starego Puynegre o twarzy białej jak kreda. Od czterdziestu lat przewodniczył rokrocznie wyprawie po wino bez żadnych scysy, dziś dożył, że rodzony siostrzeniec wstyd i hańbę ściągnął na jego siwą głowę.

— Jak się z tego wywiniesz, lotrze? — zakrzyknął doń.

— Naprawię winę.

— Mojemii dukatami, hultaju? —

— Nazwiskiem mojem i pracą, wuju — odparł wyrrywając się nagłym rzutem z rąk trzymających go pacholców. Gimibre przypadła doń rozdygotana.

— Patrzcie! — zawołał zwycięskim wzrokiem, obejmując obecnych.

Winogradnicy spuścili głowy. Wśród ogólnej ciszy odezwał się znowu głos Lesquilat'a, ale miękki jak aksamit:

— Wracaj do domu, Gimibre! Wracaj, kochanie! Jutro przyjadę w swaty.

— Trzeba było zaozać od tego! — zabrzmiał stary Puynegre.

— Stanąłbyś okoniem, wuju.

— Może być!.. Tylko że... od pięćdziesięciu już lat zgóra nie było wypadku porwania dziewczki w Owernji.

— Wielkie mi rzeczy! Ot i ja przypomniałem zwyczaj!

Rozstano się bez ukłonów, z oczami i pięściami jeszcze w gniewie. Gromada winogrodników wracała do wioski zbity z tro pu i nagle zmieszana swą zbrojną napaścią. Gimibre wśród nich była już jak obca. Boczono się od niej i nie wdawano w rozmowę, słuchając z urazą w sercu rozdźwięczonych kobz, niosących echem po okolicy radosną wieść triumfalną, że góry Owernji porywają najpiękniejszą dziewczkę dolinie Quercy.

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VII.

Niedziela, 23 lutego 1930 roku.

Nr. 8.

Łódź u zenitu karnawału.



Niezłe jest samopoczucie Łodzi. Mimo kryzysu holduje ona księciu karnawałowi, jak to zresztą widzimy powyżej. U góry dwa fragmenty z balu prawników. Na zdjęciu lewym widzimy przedstawicieli sądownictwa łódzkiego z prezesem Sądu Okręgowego w Łodzi, p. St. Bełżyńskim i wice-prezesem p. Żukwą na czele. W środku fragment z balu pracowników Kasy Chorych, po bokach fragment z balu Tow. Sport, „Union“, a dołu zaś bal Ł. K. S.

Fot. Meyer. Tel. 108-81.

TEATRALJA.

Ameryka górą!... — Kryzys teatru francuskiego. — Co mówi o tem Jean Sarment? — Nowości z za kulis.

Niejednokrotnie już mieliśmy możność podkreślać w naszych kronikach dość wybitne zjawisko — powszechnej niemal przewagi twórczości scenicznej amerykańskiej, nie zawsze pierwszego gatunku. Zjawisko to łączy się ściśle z poważnym kryzysem teatru francuskiego i jest bodaj jedną z najprostszych tego kryzysu konsekwencji, albowiem Francja przez długie lata była nie tylko dostawczynią utworów teatralnych dla wszystkich krajów i narodów, lecz ponadto — autorzy francuscy, od Moliera i Corneille'a, poprzez Dumasa, Augier'a i Sardou, aż do najbliższych nam w czasie Currielów, de Flersów, Caillavetów, Bernsteimów i w. in., świecili oddawna blaskiem talentów, a już conajmniej — mistrzostwa techniki scenicznej.

Lata powojenne, żłobiące bardzo głębokie zmiany w stosunkach artystycznych i kulturalnych Europy, przyniosły z sobą m. in. kryzys teatru francuskiego. Najbardziej uderzającym i najgroźniejszym objawem chorobliwego stanu rzeczy jest zmerkantylizowanie teatru, uczynienie zeń miejsca płytkiej i mało wartościowej rozrywki, zaspokajającej jednak gusta t. zw. szerokiej publiczności i spragnionych zabawy — cudzoziemców, z którymi teatry paryskie bardzo, oczywiście, muszą się liczyć. Wskutek obniżenia poziomu repertuarowego teatrów, konjunktura dla twórców poważniejszej miary ukształtowała się w sposób mało zachęcający. Pierwsza scena Francji — „Comédie Française“, zaślepiona w rutynistycznych tradycjach, zaśniedziała w biurokratyzmie, ani chce, ani może odgrywać rolę ogniska, skupiającego wokół siebie młodszych, utalentowanych pisarzy. Charakterystyczny był w tym względzie epizod ze sztuką Reynala „Mogła nieznanego żołnierza“, której wystawieniu sprzeciwiły się władze „Komedii“; trzeba było dopiero energicznej interwencji ministra oświaty, aby sztukę wprowadzić na repertuar, co — nawiasem mówiąc — przysporzyło konserwatywnemu teatrowi sukcesów artystycznych i kasowych.

Radykalne eksperymenty inscenizacyjne, których inicjatorami byli Meyerhold, Taitrow po części Piscator i in., przebrzmiały bez po ważniejszego echa i nie przyjęły się ani we Francji, ani — zresztą — gdzie indziej. Eksperymentatorzy bardziej umiarkowani, jak np. Gaston Baty czy Pitojeff, pomimo niejednej ciekawej i udanej próby, nie mogą się naogół poszczycić większymi sukcesami, — zwłaszcza zaś sytuacja materialna bojowych, literackich teatrów pozostawia wiele do życzenia i zmusza częstokroć kierowników do ich likwidacji. Słowem, na całej linii zwycięża przeciętność i tandeta, a brak głębszych zainteresowań wśród publiczności utrwała ten niepomysłny stan rzeczy.

Tymczasem — z drugiej półkuli nadchodzą wieści, świadczące o gruntownych zmianach w życiu teatralnym Ameryki; podczas



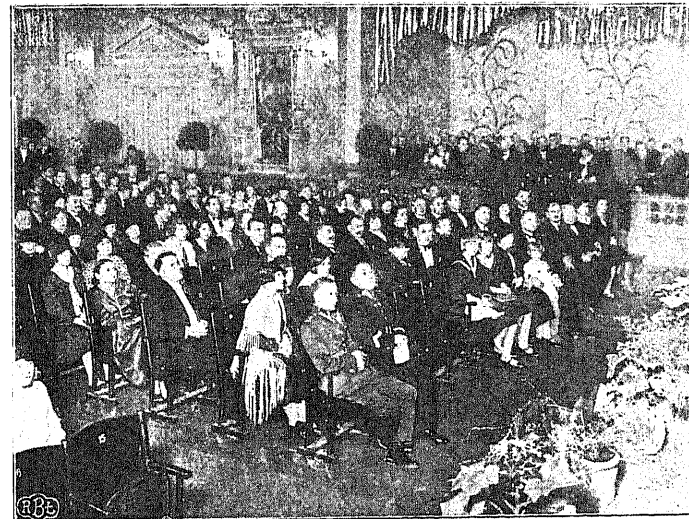
Evelyn Brent, znakomita gwiazda ekranów amerykańskich.

gdym teatr francuski, a wraz z nim i inne teatry Europy wykazują symptomy dekadencji i degeneracji, teatr amerykański, przeciwnie, jakby ożywiony nowymi siłami, jakby pełen nowego ducha poczyna przejawiać wybitne dążności do zejścia z dotychczasowych wąskich ścieżek sensacji i skandalu. Stało się to w dużym stopniu za sprawą kilku występujących stale w Ameryce Północnej wybitnych aktorów europejskich, którzy przedewszystkiem, przyczyniali publiczność amerykańską do wartościowego pod względem artystycznym repertuaru (Szekspir, Shaw, Tołstoj), ale dali również impuls do założenia towarzystwa teatralnego, posiadającego już wiele tysięcy członków, do wybudowania okazałego gmachu teatru, którego reżyserem został J. Copeau z paryskiego „Vieux Colombier“ — itp. Bardzo sprzyjającym momentem dla powstania artystycznego teatru amerykańskiego jest wystąpienie na arenę pisarską tak świetnych talentów, jak np. O'Neill, który i na scenach europejskich cieszy się zasłużonym rozgłosem. (Niedawno warszawski Teatr Nowy wystawił sztukę O'Neill'a — „Anna Christie“).

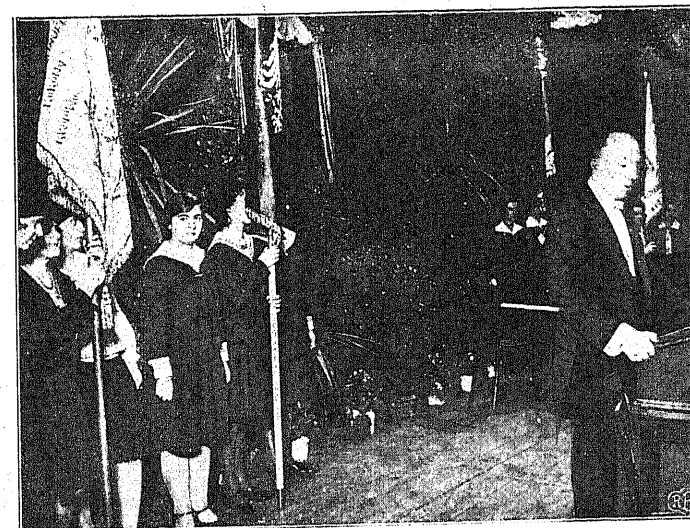
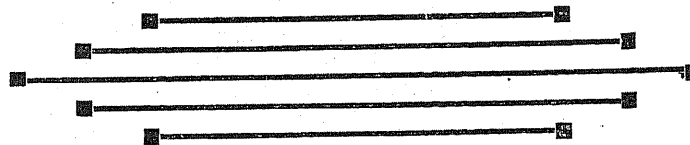
Nie należy się zbyt dziwić, w okolicznościach wyżej opisanych, że sztuki amerykańskie torują sobie coraz częściej i energicznie drogę na sceny teatrów Europy.

Jest to pewnego rodzaju signum temporis, wskazujące, że wycieńczoną po wojnie Europę zasilać musi Ameryka nie tylko strumieniami złota, ale i produktami ducha ludzkiego, który w amerykańskim dobrobycie znajduje sobie nieraz podatniejsze warunki do pracy i rozwoju. Mimo wszystko, nie należy sądzić, by rola Europy w kulturalnym artystycznym życiu ludzkości miała już być skończona. Cierpimy wszyscy wskutek chorób i kryzysów, nieodłącznych od wszelkich przemian historycznych w dziejach narodów; prędzej czy później narody, wyniszczone klęskami i konsekwencjami wojny, dojdą do równowagi i rozpoczną nową erę, która i pod względem rozwoju sztuki powinna stać się erą regeneracji.

Z ufnością i spokojem patrzy w przyszłość teatru głośny dziś autor francuski Jean Sarment, twórca granego w Łodzi „Poławiacza cieni“. Odpowiadając na ankietę jednego z dzienników paryskich, Sarment napisał m. in.: „Kinematograf zabije tylko zły teatr, nigdy zaś nie zabije dobrego. Teatr dramatyczny będzie się coraz bardziej uduchowiał, stając się prawdziwą świątynią sztuki. Pierwsze miejsce w teatrze zajmie autor, drugie aktor, a dopiero trzecie reżyser (którego rolę ogranicza znacznie Sarment w teatrze przyszłości)“. — Dodamy przy okazji, że Sarment ukończył



Z okazji rocznicy koronacji Papieża Piusa XI, odbyła się w Łodzi w sali Filharmonii uroczysta i podniosła akademja ku czci Ojca św. Na zdjęciu powyższym widzimy licznych uczestników akademji tej z przedstawicielami władz i duchowieństwa na czele.



Na akademji papieskiej w Filharmonii wygłosił referat prof. K. Jędrzejewski z Warszawy. Powyżej widzimy prof. Jędrzejewskiego przemawiającego z podjum do uczestników akademji.

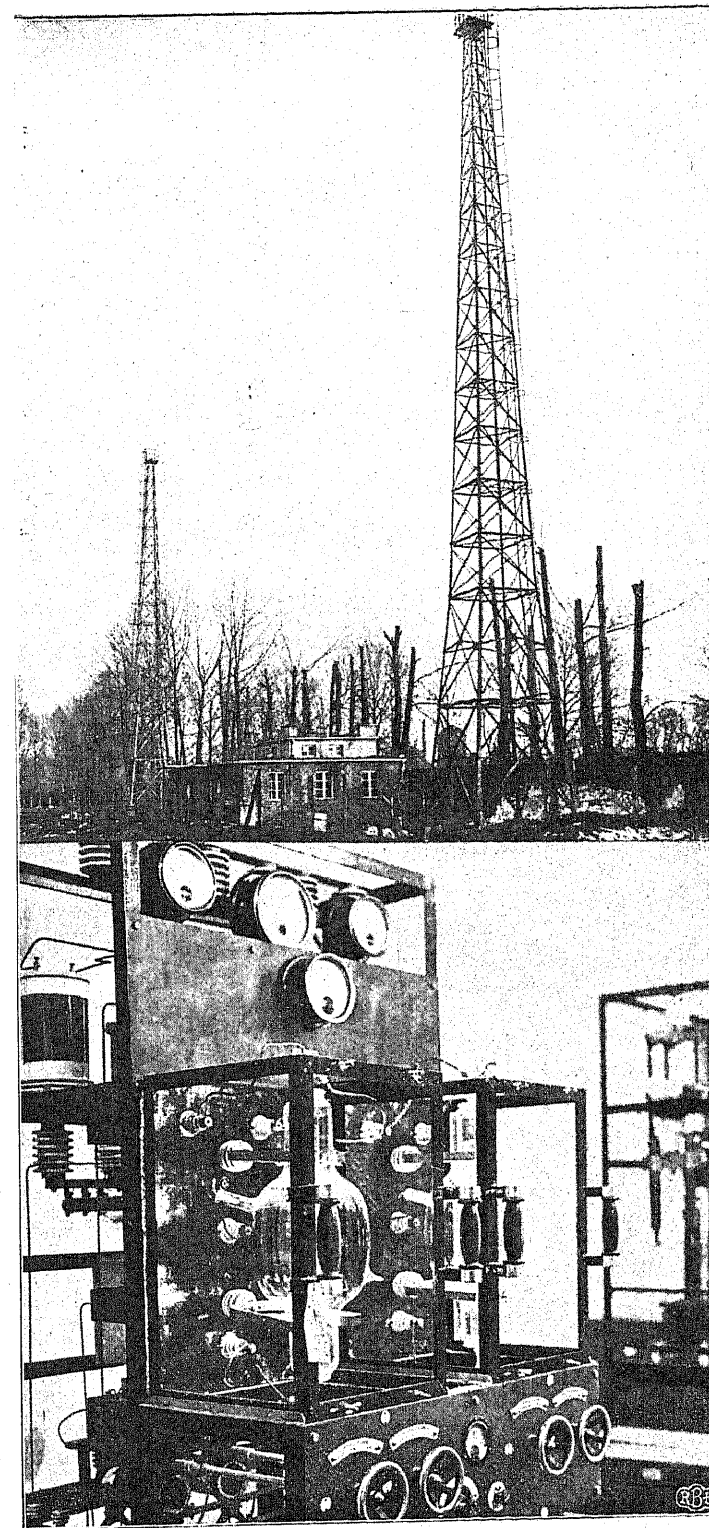
niedawno dwie nowe komedje; do jednej z nich p. t. „La vie commence demain“ pomysły został wzięty z powieści Guida da Verona.

Na zakończenie — parę nowości ze scen zagranicznych. Popularny autor francuski, autor „Kawłarenki“, Tristan Bernard, napisał nową komedję, zakupioną już przez teatry Reinhardta w Berlinie, p. t. „Juljusz, Jul-

jetta i Julianna“. Wódz duchowy futurystów włoskich, których dziś możnaby już nazwać raczej — passeistami, Marinetti ukończył sztukę pod intrygującym tytułem „Nagi sufler“; grać ją będzie Teatr Niezależnych w Rzymie. W Wiedniu cieszy się wielkim powodzeniem najnowsza sztuka Molnara p. t. „Raz, dwa, trzy!“, której bohaterem jest bankier, przeobrażający z ma-

giczną zręcznością skromnego szofera w potomka arystokratycznego rodu; metamorfoza ta jest niezbędna dla ratowania zachwianych interesów bankiera. Teatr Nowy w Lipsku gra nieznaną dotychczas operetkę Offenbacha p. t. „Robinson Cruzo“, której rękopis niedawno odnaleziono.

Delta.



Radjostacja przekąźnikowa w Łodzi. Powyżej widać antenowe, u dołu zaś wnętrze hali maszyn.

3-ci KONKURS

„Kurjera Łódzkiego”
dla naszych milusińskich

p. n.

„TYP DZIECKA POLSKIEGO”

W konkursie tym mogą wziąć udział wszystkie dzieci od lat 2—7, których rodzice winni nadesłać do redakcji „Kurjera Łódzkiego”

fotografie, oznaczone godłem,

nazwisko zaś imię i adres, winno być załączone w drugiej zamkniętej kopercie, oznaczonej tem samym godłem. Reprodukcje fotografii zamieszczone będą co tydzień w dodatku „Łódź w Ilustracji” w ilości od 12—20

Gdyby fotografię w którymkolwiek tygodniu było więcej, kolejność umieszczenia nastąpi w drodze losowania.

Konkurs trwa do 1 kwietnia 1930 r.

Wszyscy czytelnicy mogą głosować na wybrany przez siebie typ, wycinając odnośny kupon, znajdujący się w każdej niedziele w „Kurjerze Łódzkim”. Na kuponie tym należy wpisać tylko godło dziecka, na które się głosuje i w zamkniętej kopercie z nagłówkiem „Na konkurs” nadesłać pod adresem „Kurjera Łódzkiego”

Losowanie nastąpi w obecności członków redakcji po dniu 1 kwietnia 1930 r. Jako nagrody redakcja „Kurjera Łódzkiego” przeznaczona dla dzieci na które padnie z kolei największa ilość głosów:

- I **Kompletne ubranko letnie, składające się z garniturku, względnie sukienki, trzewiczków i kapelusika oraz żeton złoty.**
- II **Rower dziecienny, względnie kolczyki złote oraz żeton srebrny.**
- III **„Niezdobyta forteca” albo piękna lala i żeton brązowy.**
- IV **„Krokodyl” lub wielka piłka gumowa.**
- V **6 książek w ozdobnej oprawie z bajeczkami ilustrowanymi.**



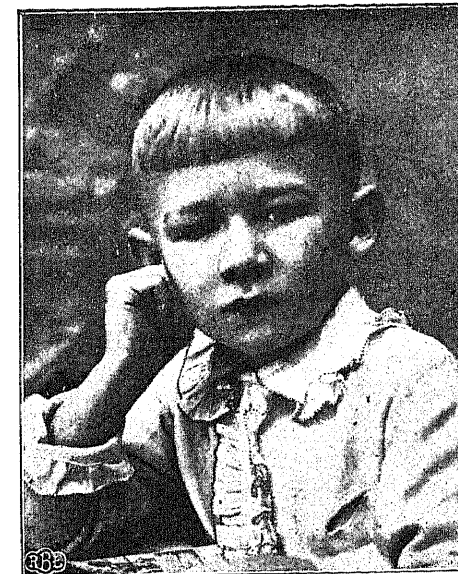
Godło „Marysięka”.



Godło „Krysięka II”.



Godło „Lilius”.



Godło „Leszek”.



Godło „Halina II”.



Godło „Witus”.



Godło „Mirek”.



Godło „Kopciuszek z Rudy”.



Godło „Trzechletnia powiaga”.



Godło „Motylek”.



Godło „Krysięka III”.



Godło „Malkina”.



Nasza rodaczka, Pola Negri, w filmie „Podwójne życie“.



P. Krystyna Ankiewicz, artystka Teatru Narodowego, gra obecnie w filmie p. n. „Kult ciała“.



W lokalu Miejskiego Kinematografu Oświatowego otwarta została wystawa antyalkoholowa. Powyżej fragment afisza propagandowego.



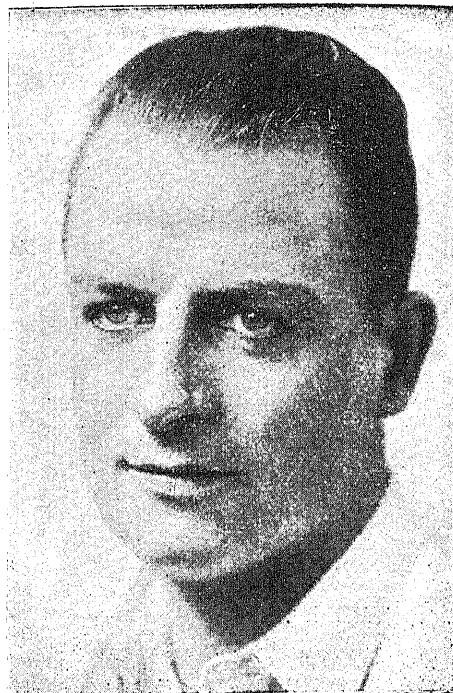
Conrad Veidt w jednej ze swych charakterystycznych ról.



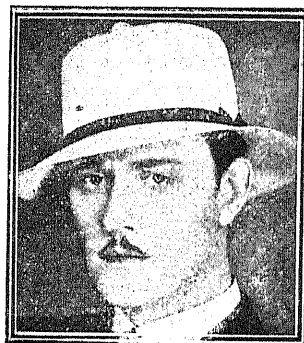
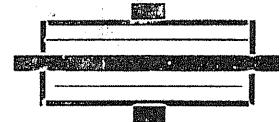
Barbara Kent, odtwarzająca główną rolę kobiecą w filmie p. n. „Samotni“.



Mary Duncan, demoniczna gwiazda ekranu, bohaterka filmu p. n. „Sirena“.



Sympatyczny i uzdolniony komedjowy artysta filmowy, Reginald Denny, według zdjęć ostatnich.



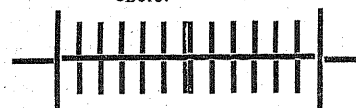
Jeden z antystów filmowych, Conrad Nagel.



Alegoria kłeski, jaką szerzy alkoholizm wśród rzesz robotniczych.



Uczniowie kursów, kończący Państwową Szkołę Włókienniczą, urządzili pod protektoratem pp. dyr. A. Trojanowskich tradycyjną „Studniówkę“ w siedzibie szkoły. Na zdjęciu powyższym widzimy młodzież z protektorami „Studniówki“ na czele.



W ubiegłym tygodniu bawił w Łodzi min. poczt i telegrafów, p. Boerner. Powyżej widzimy p. ministra opuszczającego gmach Urzędu Wojewódzkiego.



P. Ludwik Komornicki, długoletni kierownik starej tkalni „Widzewskiej Manufaktury“, święci dziś 50-letni jubileusz swej pracy zawodowej.



Znakomity wiolonczelista polski, p. Kazimierz Wilkomirski, występował ostatnio z wielkim powodzeniem w Bukareszcie na festiwalu muzyki polskiej.

RENE JOUGLET.

PRUDENCIA.

— Prudencjo. — odezwała się stara Augustyna, wchodząc do swej kumy — nie chcę ci robić przykrości, ale dalipan lepiej, żebyś nie narażała się na ludzkie języki. Twój brat Dezyderjusz nie wyjdzie już z choroby i sam jak palec w domu. Nie godzi się

nie zatroszczyć o niego. Ładnie się ubierzysz, jeśli dopuścisz, aby ksiądz z ambony wypomnił ci to!

— Jakże mogę zająć się bratem — odparła stara Prudencja, ocierając lzy kofcem fartucha, skoro kolki mam w żołądku, aż Józef już myśli o sprowadzeniu doktora.

Na to weszła Maria, młoda kontrabandzistka, witając obie kobiety pokłonem.

— Przepuścili cię? — zagadnęła ją Augustyna.

— A jakże. Przysłałam właśnie odważyć matce Prudencji zamówione pół funta kawy — odpowiedziała zapytana, rozkładając dwie z kieszeni wyjęte gazety na podłodze. Poczem, stanawszy na nich, rozwiązała spódnice. Zielona kawa, którą miała na gołych pierśiach pod koszulą posypała

się wzdłuż jej ciała, tworząc kupkę wokół zapylonych buciaków. Zebrawszy ją do koszyka odważyła jako tako pół funta i wręczając Prudencji odezwała się do niej:

— Brat wasz umiera. Szkoda go. Dobry był z niego celnik! Ani razu nie przyłapał ni mnie, ni mego męża. Mają oddać go do szpitala.

— Jezus Marja! Kto będzie płacił? — za krzyknęła Prudencja podskakując, podczas gdy Marja związała pieniądze w róg chustki, zabierała się do wyjścia.

— Kto? — podchwyciła Augustyna — sprzedają jego dom i kwita.

Prudencja usiadła, młynkując wielkimi palcami z błyskawiczną szybkością. Augustyna tymczasem, schowawszy tabakierkę do kieszeni, z łaską w ręku szła ku drzwiom mrużąc:

— Ładny dom... dachówką kryty... wart niemało groszy. Ho! Ho!

Niebawem koła jej wózka, ciągniętego przez psy, zadudniły po bruku.

Kiedy Józef, mąż Prudencji, słyszający za lokajką we dworze, wróciwszy do domu jadł półgębkiem, nie śmiając zrobić uwagi za przy palony bigos, żona miała dość długą przemowę, a że dobry i potulny czelczyzna bał się jej jak ognia, potakiwał więc wszystkiemu.

Wyszedłszy wcześniej niż zwykle, wstał pił po drodze do karczmy, gdzie doktor Dupont zatrzymał się w przejeździe, zostawiając dlań zlecenie odwiedzenia chorej żony. Pan doktor, ordynarny, źle ubrany, traktujący swych pacjentów, jak nieprzymierzając weterynarz bydło, stręczyciel koni i nieruchomości jednocześnie, zjawił się tego samego popołudnia i odpowiedział Prudencji na jej utyskiwania, że wie lepiej od niej co jej dolega, wydobyl błoczek z kieszeni i nie badając chorej zabrał się do pisania recepty.

— Na etykietce Towarzystwa Dobroczynności! — prosiła Prudencja płaczącym głosem, za co doktor nazwał ją starą ropuchą, oznajmiając, że skoro tak krucho z nią, gotów kupić jej dom z zapewnieniem dożywocia dla niej i męża, o którym wiedział, że nie wchodzi w rachubę, a dzieci ani też bliższych krewnych nie było.

Prudencja, w obawie, zrażenia sobie doktora, liczącego drogę za wizyty, odpowiedziała wymijająco, myśląc w duszy:

— Niema głupich! Gotów mnie zatruć jeszcze jaką podejrzaną miksturą! Zły, że nie ubije interesu, doktor trzasnąwszy szpic rutą zabierał się do odejścia, kiedy Prudencja spytała nieśmiało:

— Jak tam Dezyderjusz, panie doktorze?

— He! He! Tak wam pilno dziedziczyć po nim? Poczekajcie z tydzień jeszcze. Nagle stanął, zamyślił się, wydobyl błoczek, magryzmolił kilka wierszy i podając kartkę Prudencji, rzucił na odchodnym:

— Macie tu receptę na pastylki słazowe, wydadzą wam je na konto Towarzystwa Do broczynności... A pamiętajcie, że dwa domy nie są wam potrzebne...

Po odejściu doktora Prudencja, wdziawszy spancer i czepek z kryzą, zamknęła dom na dwa spusty i poszła do brata, mieszkającego o pół mili od niej.

Dezyderjusz leżał sam, jak sierota. — Twarz jego była kredowej białości, wargi zaś fioletowe. Grube krople potu błyszczały mu na czole. Nie mógł już mówić.

— A toć lepiej wyglądasz, jak mi Bóg miły! — zawołała Prudencja od progu. — Co mi tam ludziska nagadali, iż źle z tobą! Doktor Dupont powiedział, że bylebyś miał mleko prosto od udoju, świeże powietrze i słońce, a będziesz zdrow jak ryba. — Więc my z Józefem umyśliли zabrać cię do nas. Wszak bratem mi jesteś, Dezyderj! Tylko, że nie bogaci my ludzie, a choroba, wiadomo, dużo kosztuje!

Chory człowiek w obliczu śmierci nie dba już o dobra ziemskie. Za promyk nadziei powrotu do zdrowia gotów oddać wszystko. Białemi krukami są ci, co czując, że toma, nie oczekują cudu. To też Dezyderjusz chwycił się tej, jak wierzył, deski ratunku, podanej mu przez troskliwą siostrę — zgodził się scedować na nią dom wraz z meblami wzamian za miraż życia.

Postawiono tedy, że Dezyderjusz zostanie w ciągu tygodnia przeniesiony do domu Prudencji, a notariusz sporządzi akt dotacyjny w międzyczasie. Z tem Prudencja odeszła do siebie. Nazajutrz, od samego rana, zjawiła się z dwoma jajkami na miękko, które Dezyderjusz, gasnący z godziny na godzinę, przekłnąwszy z trudem, zrzucił natychmiast.

— U nas lepiej ci będzie — pocieszała go Prudencja, kładąc do koszyka zegarek budzik, cztery filiżanki porcelanowe, łyżki i widelce, owijając wszystko w chustki do nosa. Pozem, usiadłszy przy łóżku, puściła w młynek dwa wielkie palce w zamyśleniu.

Na krótko przed południem zjawił się kancelista notariusza i powinszowawszy Dezyderemu poprawy w zdrowiu zabrał się do spisania inwentarza. Prudencja wówczas, wyszedłszy na próg domostwa, zagała rozmowę z zakrystjanem, idącym do dzwonnicy i urzędnikiem celnym, przeorywującym swój ogród, prosząc ich, by zaszli do brata na dzień dobry. Zaledwie znał się w mieszkaniu, kancelista, skończywszy swoją robotę, spytał chorego, czy zgadza się na przepisanie domu i mebli na imię siostry Prudencji? Dezyderj skłinał głowę wobec dwóch przygodnych świadków. Pozostawszy u brata do wieczora, Prudencja wróciła na noc do siebie. Nazajutrz jednak zjawiła się znów wczesnym rankiem w towarzystwie kancelisty z aktem cesyjnym w tece. Dezyderjusz z nieopisanym wysiłkiem podpisał go drżąca ręką.

Poczem Prudencja poszła do domu i nie zagała w ciągu trzech dni do chorego. Czwartego zaś przyjechała wraz z mężem wozem pożyczonym we dworze, tłumacząc się Dezyderemu, że zajęta była uprzątnięciem pokoju dla niego. Przy pomocy sąsiada zniesiono kredens, szafę, stół, krzesła i piecyk na wóz — wszystkie niemal sprzęty. Dezyderjusz zaś pojechał na swym materacu nazajutrz dopiero, kiedy Augustyna szepnęła Prudencji, że włoska burzy się i wót zamierza wdać się w tę sprawę.

Kończono właśnie żniwa, ale umierający celnik nie widział już wozów pełnych zboża, ani słyszał skowronków i koguta nawet, który zapiał w chwili, kiedy wóz wjeżdżał w podwórze... Leżał bowiem w śmiertelnej już śpiączce.

Nazajutrz opłakiwany rzewnymi łzami przez siostrę i szwagra, spoczął w pięknej jodłowej trumnie z niklowym Chrystusem przybitym do wieka.

Po pogrzebie Dezyderego doktor odwiedził Prudencję, dopytując się o stan jej żołądka i usłyszawszy, że kolki ją biorą w dalszym ciągu, wypisał bezpłatną receptę na jujubowe cukierki. Zjawiwszy się nazajutrz dał jej w prezencie cukierki lukrecyjne, a w dalszym ciągu odwiedzał swą chorą co drugi dzień raz po raz przywożąc jakieś leki i nie wymyślając jej od starych ropuch. Prudencja pewna, że umizga się o kupno jej domu z zastrzeżeniem dożywocia, śmiała się w kufak pocichu.

Nadeszła zima, a doktor Dupont nie ustawał w swej gorliwości. Prudencja miała już w szafie cały rząd flakonów z wszelkiego rodzaju syropami słodkimi jak miód i wzmacniającymi naczem likier.

W dzień Nowego Roku, kiedy Józef zgarbiony we dwoje i z kapką u nosa wracał z ogrodu, gdzie wykopał porę na zupe, ujrzał wchodzącego do domu służącego dr. Dupont którego obowiązkiem było roznoszenie i inkasowanie rachunków za wizyty. Złożywszy życzenia noworoczne i wypiszący filiżankę kawy oraz kieliszek wódki otworzył pugłares i podał Prudencji rachunek. O mały włos nie zemdlął, nieboga, doktor Dupont bowiem, policzył po słonej cenie wszystkie swoje wizyty. Daremnie uderzyła w płacz, broniąc się przed krzywdą; wierzyiciel nazwał ją kryminalistką, grożąc że odda sprawę do sądu i zlicytuje wszystkie meble.

Rada nie rada musiała więc sprzedać d-rowsi Dupont dom otrzymany po Dezyderym w spadku, który po odrzuceniu należności za honorarja przypadł sprytnemu medykowi za pół ceny w udziale.

Upominana przez Augustynę Prudencja podzieliła otrzymaną sumę na dwie nierówne części: mniejszą opłaciła krzyż drewniany, który stolarz postawił na grobie Dezyderego, drugą zaś, znacznie większą schowała do kieszeni halki, której nie zdejmowała na noc nawet

Thum. Jotsaw.

* * *



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VII.

Niedziela, 2 marca 1930 roku.

9.

ŁÓDZIANIE W ZAKOPANEM.



Zimowa stolica Polski — Zakopane, cieszy się dużą frekwencją kuracjuszków, między którymi nie brak pięknych łódzianek i sympatycznych łódzian. Jak szybko i wesoło upływa czas w górach, niechaj świadczą powyższe fragmenty zakopiańskich rozrywek.